



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÓCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

TEORYA I PRAKTYKA

W ZAWODZIE NAUCZYCIELSKIM.

I.

Nauczycielki dzisiejsze przygotowują się niewątpliwie więcej do obowiązków swego zawodu, niż to było niegdyś. Programmat szkolnej nauki kobiet rozszerzył się bardzo; ludzie zdolni to sądzić, ludzie specjalnie w kierunku nauczycielstwa wykształceni, jak naprzykład professor Boczyński, obawiają się nawet, czy nie rozszerzył się za nadto, czy mnogość przedmiotów naukowych nie sprawia, że dzisiejsza szkolna nauka kobiet musi być płytka i powierzchowna, co staje się powodem, że tylko umysły wyższe dobrze na tem wychodzą, bo wszechstronniej niż dawniej przez szkołę oświecone, umieją lepiej rozejrzeć się w świecie wiedzy, umieją lepiej i pewniej szukać sobie dróg wyższego, doskonalszego wykształcenia, w tych szczególnie gąszczach nauk, do których przez skłonność umysłów swoich czują się pociągniętymi. Uczennice szkół dzisiejszych dostają ze wszystkiego, lub niemal wszystkiego, co nauką się zowie, takie nocy pierwsze, takie rze-

czy zarysy, że zupełnie nieświadomymi w niczem już nie są, że wiedzą o nauce bardzo wiele i rzeczywiście już mogą się uczyć poważnie. Czy przecież wiele z nich uczyć się jeszcze poza szkołą, czy wiele z nich uczyć się nawet może przy układzie naszych obyczajów i wobec tego, obejść się nie dającego względu, że kobieta wcześniej dorastając, wcześniej wstępuje w szranki żywego życia? Przeciwnicy systemu zarzucają mu też, że z krzywdą większości obliczonym jest na mniejszość, że prowadzi w nauce do rezultatów Darwinowskiej walki o byt: wyższe, silniejsze natury wybijają się z jego pomocą na wierzch, słabsze zaś i mniej bogato w zdolności uposażone idą na dno, przepadają dla nauki zupełnie, lub, co gorzej, wyrabia się z pośród nich zastęp istot niedouczonej, którym nauka umysłów wcale nie rozświeciła, nie wykształciła formalnie, a dała tylko pochop do próżności i fanfaronady naukowej. Ale kwestya to długa i zawiła; faktem przecież jest to, że dziś o nauce więcej i poważniej kobiecie się mówi, że się jej umysłowi szerszy i poważniej obmyślany plan nauki przedstawia, że naprzykład każdej nauczycielce za obowiązek to już kładą, aby posiadała pewne specjalne w zawodzie swoim wykształcenie, wiedziała, że jest jakaś nauka wychowywania i nauczania, z którą obznajomić się powinna: pedagogika, mająca pracę jej ułatwić i w skutkach pełniejszą, płodniejszą uczynić.

Mniej więcej się ucząc, mniej więcej inteligentnie wiedzę otrzymaną do umysłu swego przyjmując, nauczycielka dzisiejsza lepiej już ogół zadania swego pojmuje, wie już o zadaniu tego punktach wytycznych i w najgorszym nawet razie myśli choć trochę o metodzie nauczania, o sposobach

wyrabiania dziecka intelektualnie i moralnie. Jeżeli do zawodu swego w wyższym znaczeniu tego wyrazu uzdolnioną nie jest, jeżeli sama zamiłowania nauki nie posiada, zmęczy się prędko biedaczka i, rzecz jako rzemiosło traktując, w rutynie utonie, ale przynajmniej z początku każda prawie pragnie do serc i umysłów dzieci najlepszej drogi się doszukać, uczyć i wychowywać dobrze, według tych zasad i wskazówek pedagogicznych, na których zalecano jej nauczycielskie swe postępowanie oprzeć.

Ale od teorii do praktyki jakaż przestrzeń daleka! Z metodą nauczania łatwiej zawsze, bo ją w tem wręcz i bezpośrednio objaśniano i może, choćby naślep, naśladować sposoby, których używano przy nauczaniu jej samej; ale żywe życie to kalejdoskop: wszystko tu jest zmianą, przemianą, różnaitością zadziwiającą i wyrabianie dziecka moralne przedstawia ogromne trudności nauczycielce niedoświadczonej i młodej, która jeszcze sama natury ludzkiej nie zna i za całą pomoc w tym kierunku ma trochę nocyj psychologicznych, zaczerpniętych z przebytego kursu pedagogiki.

Ważna to jest rzecz niewątpliwie, ważna choćby już przez wiadomość samą, że się tu z czemś liczyć, na czemś oprzeć, a czegoś unikać należy— że tu trzeba zastanowienia, reflexyi i planu jakiegoś, tak zupełnie, jak przy rozkładzie nauk.

Tylko tu rzecz nie może być lekczą, w ten lub inny sposób wyuczoną. Nauczycielka wiedzieć to już musi, z własnego nawet doświadczenia, że słowa, choćby najrozumniejsze, jeszcze tego nie doko-

nają, u dziecka szczególnie, które przy ruchliwości umysłu swego zapomina prędko czynionych mu uwag. Zna też może i pamięta przestrożę Herberta Spencera, że „nie tylko u dzieci, ale u wszystkich umysłów mało skupionych i niewykształconych, napomnienia chybają celu (Wstęp do *Social Science*, rozdz. XV)“. Przytem nauczycielka nie sama tylko jest z dzieckiem; czy-to ma miejsce w szkole, czy w domu, zawsze obok niej, a raczej panując ponad nią, znajdują się rodzice i koło rodzinne, ognisko domowe, którego dawne i teraźniejsze wpływy działają silnie na istotę młodą. Niezawsze zdarza się tak szczęśliwie, aby nauczycielka z wpływami temi tylko współpracować potrzebowała; często dostaje jej się dziecko już niemi zepsute—zapsute przez pieczęty lub zaniedbanie, przez fałszywy kierunek wychowania i pojęć o życiu. Oddziaływanie otoczenia, które, poczynając się z pierwszą niemal chwilą istnienia pokład moralny charakterowi dziecka daje, już ją uprzedziło i nigdy nie znika całkowicie, gdy dziecko pod jej władzę przechodzi, a raczej, gdy ona przychodzi władzę rodzicielską podzielać.

Niemniej nie usuwa to jej odpowiedzialności osobistej. Ona powinna robić swoje—powinna obok wykładu nauk przeprowadzać edukację dziecka moralną. Wiemy już przecież, że nie słowami, których skutek jest u dzieci bardzo słaby, a które przytem mają drugą niebezpieczną stronę swoją, bo ułożone w jakąś sentencją, w jakąś naukę moralną, mogą stać wręcz do sporu z tem, co dziecko od rodziców słyszy, co w rodzinnym swem kole widzi i wtedy jej własna lub rodzicielska powaga osłabić się może w sposób bardzo dla działań wychowawczych szkodliwy. Nauczycielce należy też przedewszystkiem i bez wdawania się w wywody, wytwarzać dziecku praktyczne nawyki cnoty, to jest kazać mu tak postępować, takie uczucia w sercu, takie myśli w głowie mu rozbudzać, aby dziecko ze szlachetnych pobudek, do szlachetnego celu dążyło—kierowało się stale przez wszystkie kroki i czyni swoje do dobra i piękna moralnego, do spełnienia obowiązku.

Oto podstawa i grunt pierwszy: dzieciom małym nie cnotę wykładać, ale do praktykowania cnoty codziennie je wdrażać i skłaniać zwolna przez odpowiednie skierowanie uczuć i myśli. Tam, gdzie rodzice sami do tego celu dążą, rzecz, naturalnie, łatwiejszą się staje; tam zaś, gdzie zbaczają z tej drogi, do smutnej polemiki nie przyjdzie, skoro tylko nauczycielka uczyni to poprostu regulaminem szkolnym, aby dziecko było w postępowaniu swoim dla wszystkich ludzi grzeczne i dobre, dla starszych posłuszne, a względem młodszych, słabszych lub cierpiących poczuwało się do obowiązku opieki i pomocy pewnej, w powinności widziało rzecz świętą, której nigdy obejść, nigdy naruszyć się nie godzi.

Dziecko, które w takich zasadach chowane było, należy nauczycielce z niesłabnącą nigdy uwagą przez codzienną życia praktykę w tem utwierdzać: dobre nawyki wzmocnić, a przeciwko złym zwolna, ale stanowczo i nieustannie walczyć. Znałam sędziwą matronę, która bawiąc się niby z dziećmi wiejskimi i sług dworskich, uczyła i wyuczyła liczne ich gronko porządku bez jednego słowa perory, kazania, że porządek jest rzeczą ważną i życiu ludzkiemu potrzebną, że nas podnosi i uzcenia moralnie. Codziennie wracając z kościoła lub z przechadzki, siadywała na ławce, w takim miejscu umieszczonej, że dzieci przywabić do siebie łatwo jej było, i osmielone zbiegały się do niej wkrótce, otaczały ją, cisnęły się hurmem, a ona to im coś opowiadała, lub kazała sobie opowiadać, czy piosenki śpiewać, to pokazywała obrazki, uczyła gier zabawnych, ale pierwszym jej słowem do cisnącego się maleństwa było zwykle:—Pokaż rączki, czy czyste, pokaż buzię, czy umyta? Jeżeli przegląd wypadł dla kogoś niekorzystnie, trzeba mu było lewo w tył zrobić i natychmiast iść się umyć, lub zdaleka od innych stać, lecz brudnemu, zamorusanemu tknąć się nigdy nie dała, tłómacząc, że i ona sama zabrudziłaby się prędko, co jest rzeczą bardzo brzydką, której ona nie lubi. Zabawnie było patrzeć, jak wkrótce wyciągano do niej rączyny już zdaleka, wołając: że mydłem były myte, i niewątpliwą jest rzeczą, że można w ten sposób dzieci wszelkich

stanów każdego rodzaju porządku nauczyć. Żadnego brudu nie znosić, czy-to na rękach, czy na duszyczce młodej, nie pobłażać mu, a przyjdzie zwolna i prawie nieznanie nawyknie czystości dobrej i pięknej, ducha uświęcającej.

Tylko wtedy trzeba nam samym przykładem zawsze świecić—pełnić stale praktykę cnoty, którą pragniemy w młode serca zakorzenić. Należy, na przykład, nauczycielce być miłosierną i litościwą, jeżeli o wzbudzenie miłosierdzia i litości u dzieci jej chodzi, do sparcia biednych, do datku jałmużny dziecko przytem nakłaniając, polecając mu to nawet, jako rzecz, którą pełnić się godzi, przy spokojnem orzeczeniu, że ten oto nasz bliźni, który rękę po jałmużnę wyciąga, jest biednym, nieszczęśliwym człowiekiem, wsparcia ludzkiego potrzebującym. Jeżeliby poprzednio nikt tak do dziecka nie przemawiał, gdyby nawet słyszało kiedy, jak surowem, nieludzkim, niechrześcijańskim słowem fukano na biedaka, nauczycielka ma niemniej sposób na serce dziecka tak działać, aby drgnęło w piersi młodej. Niech się stara przy pierwszej zdarzonej sposobności, na przykład przy lekcji religii, o braterstwie ludzi, o łączącej ich solidarności kilka przystępnych słów dziecku powiedzieć i coś z Ewangelii, np. przypowieść o dobrym Samarytaninie do tego dodać, a potem znów, upartywszy chwilę stosowną, niech je wzruszy powiastką, wierszykiem, obrazkiem, gdzie cierpienie nędzy jest przedstawione, łącząc z tem uwagą, jak często grosz wydany na rzecz zbytkową i mniej potrzebną, lub odjęty jednej z licznych przyjemności naszych, może otrzeć gorzką łzę niedoli ludzkiej i wydać się łaską Nieba, darem Opatrzności: a uczucie dziecka skłoni się zwolna do cnoty dobroczynności, w sercu młodem obudzi się litość, ludzkość rozwinie się w niem, jak kwiat, który pod ciepłym działaniem słońca z pąka się wydobywa.

Widziałam raz dziecko płaczące ze wzruszenia na kolanach matki, opowiadającej mu o S-tym Franciszku z Assyżu. Chłopczyk trochę bezymyślnie, trochę przez ruchliwość psotną muchy łapał i w wodę rzucał; matka zganiała mu to z uwagą, że mucha jest istotą żywą, która tak jak i my cierpi, a potem, przygarnawszy dziecko do siebie, poczęła mu opowiadać, jak we Włoszech żył niegdyś taki człowiek świętobliwy, który nigdy nigdy żadnemu stworzeniu cierpienia nie zadał, ale przeciwnie przed cierpieniem je bronił, jak mógł wspomagał, i stało się tak, że nie lękał go się żaden twór ziemski, ptaki przylatywały do niego, zwierzęta lesne biegły za nim i wszystko jadło z jego ręki, kładło się u nóg jego, a on głosy ich rozumiał: rozumiał śpiew ptasząt, bek owieczek swojskich i łani, jeleni dzikich, żyjąc tak w przyjaźni słodkiej z wszelkiem stworzeniem Bożem, nie rozrywając pokoju i harmonii piękna wśród natury. Chłopczyna, słuchając, płakał, dla wzbudzonych w nim słowy temi wyrzutów sumienia, i stało się żeń od tego czasu dziecko, tkliwie rozkochane we wszystkich twórcach słabych i bezsilnych; była to wprawdzie dusza poety, nad którą wzruszenie tego rodzaju silniejszą moc mieć mogło, ale jestto niezmiennem przekonaniem mojem, że można w ten lub inny sposób każde prawie dziecko za serce schwytać i uczucie jego skierować do celów, przez wychowanie pożądanym.

A czy we wspomnianem wyżej chłopcu i poetyczność, którą się zaznaczał przez całe swoje, niedługie życie, nie rozwinęła się również przez tę jedną naukę matki? Oko dziecka zostało nagle zwróconem w głąb piękna przyrody, ucho otwartem na muzykę grających wśród niej głosów i gdy świat, niewidzialny dotąd, otoczył istotę z natury uczuciową, wyobraźnia wzruszyła się i ożywiła, tworząc sobie obrazy poetyczne, które nie mogły przejść bez śladu na wyrabiający się charakter. I wyrosł też człowiek niewymownie sercem dobry, słodki, poetyczny, do którego mogło być przystąpić bez trwogi wszelkie stworzenie, od człowieka, do robaczka.

(Dokończenie nastąpi).

KRÓLEWIEC I GRUNWALD

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Felixa S***

(Dalszy ciąg)

Markward Salzbach, uwiedziony spokojnym tonem tej odpowiedzi, osądził, że może wszystko powiedzieć; że Sonneberg, pod brzemieniem strasznych wspomnień przeszłości, wszedł na drogę ascetycznej pokory i pokuty i da sobą powodować: słowem, że pod naciskiem obawy o samego siebie uczyni wszystko, czego dwaj jego goście dla spólnego bezpieczeństwa wymagać będą. Pełen więc tego przeświadczenia, rzekł znów:

— My zaś, bracie Andrzeju, jesteśmy pewni, że po głębszem zastanowieniu się uczynisz zadość naszym słusznym żądaniom. Pomyśl, że nasz spólny interes wymaga, iżby przyszły mistrz zajął się przedewszystkiem polityką i staraniami o przywrócenie Zakonowi jego dawnego znaczenia i wojennej sławy, nie zaś rozpatrywaniem czynności tego lub owego komtura czy rycerza. Nikt godniej takiemu powołaniu nie odpowie nad Ulryka Junginga, i dlatego też prosimy cię, iżbyś spólnie z nami jego obiór popierał. Weź przytem na uwagę, że wszyscy trzej, jak tu jesteśmy, posiadamy u niego wielkie zachowanie.

— Nie myślę brać udziału w obradach kapituły i wyborze nowego mistrza—odrzekł Sonneberg.

— To wiedz-że o tem—zawołał Salzbach, do żywego dotknięty jego obojętnością—wiedz, że sprawa królewiecka znów została wskrzeszoną. Podskarbi Hecke mówił swoim przyjaciółom, że nieboszczyk mistrz otrzymał co do niej bezimienny list, przed samą śmiercią, i gorąco polecił ją Lichtensteinowi, Heckemu i Wendemu.

Sonneberga oblicze pokryło się straszną bladeścią i Salzbach, przypisując to przestraszowi, dodał posępnie:

— Masz wybór między śmiercią i bezpieczeństwem. Jeżeli więc chcesz, iżby twa głowa spadła na rusztowaniu, to trwaj w swoim uporze!

Sonneberg zerwał się gwałtownie od stołu.

— I wyż-to, bezecne poczwary, śmiecie mi jeszcze grozić? Niech głowa moja spadnie! Niechaj mnie dosięgnie zasłużona kara! Wyznam moję zbrodnię przed ludźmi! Krew niewinna synów Witoldowych woła o pomstę do nieba! Biedne dzieci! Niechaj ich wspomnienie ściga was do grobu i w grobie, bo wy je na śmierć skazaliście.

Dwaj komturzy, straszliwie przerażeni, cofnęli się o kilka kroków, lecz po upływie kilku minut, Salzbach przyszedł do siebie i mocno zlągadzonym głosem odezwał się:

— Przypomnij sobie tylko, bracie Andrzeju, jakie okoliczności tę nieszczęsną sprawę poprzedziły. Uszedłszy z niewoli Witolda, który, w 1392 r. znów bezcelnie zdradził Zakon i kazał cię w Kownie uwięzić, dostałeś się do Królewca. Twój powrót wydał się tam dwuznacznym, albowiem i marszałek Engelhard Rabe i wszyscy otaczający go rycerze wiedzieli o twojej zażyłości i dobrych stosunkach z tym księciem. Zapomnieli o tem, że sam twój urząd kompana wymagał, iżbyś przynajmniej pozornie, będąc przy tym zdrajcy, udawał przyjazne dlań uczucia. W takim stanie były rzeczy, kiedy na wodach zatoki królewieckiej ukazał się jakiś statek litewski, i zaraz potem komturzy i rycerze, zgromadzeni podówczas w znacznej liczbie w kommandoryi królewieckiej, zaczęli cię podejrzewać o tajemne z nim porozumiewanie się. Jakiś fatalizm sprowadził nas wtedy obu do tego przeklętego miasta. Znaleźliśmy umysły rycerstwa złowrogo przeciw tobie usposobione. Ale my dwaj, Schwelborn i ja, jako osobiści twoi przyjaciele, daliśmy poręczenie za ciebie, zapewniliśmy starego marszałka naszym rycerskim słowem, o twej wierności dla Zakonu. Tym tylko

sposobem udało się nam odwieść go od zwołania sądu na ciebie. Co się zaś dalej stało...

Sonnenberg uchwycił za sztylet, który nosił za pasem, ale się powściągnął i w szalonym gniewie zawołał:

— Co się dalej stało, ja wam przypomnę. Piekło, które was i mnie wkrótce pochłonie, poddało wam myśl żądania odemnie śmierci niewinnych dzieci. Był to w oczach waszych jedyny dowód wierności, jaki złożyć mogłem Zakonowi. Dwaj złoczyńcy wydali wyrok przeciw opuszczonym sierotom, a trzeci go spełnił!... Biada nam za życia i potępienie po śmierci!

— Uspokój się, bracie Andrzeju! — odezwał się Salzbach po kilku chwilach, głosem błagalnym: — Przystań miotać przekleństwa na nas i samego siebie.

— Markwardzie Salzbach! Czyś ty widział kiedy umierające dzieci? Niebo nie może być tak pogodnym, jak jego spojrzenie... Daremnie-bys w niem szukał skargi na losy i żalu do ludzi. Męczarnie konania nie zdołały w niem zatrzeć wyrazu anielskiej słodyczy.

— Dosyć, dosyć tego! — zawołał głucho Salzbach. — Ach! I do twojego serca zająrzała zgryzota! — przemówił znów Sonnenberg! — Znam ją ją dawno! Ale zgryzota nie jest skruchą: to tylko doczesna kara zbrodniarzy. Daremnie pędziłem życie w haniebnym pijaństwie, daremnie potem pościłem i modlić się chciałem. I w uctach i w obozach, i w celi i w kościele tamten straszliwy obraz stał mi ciągle przed oczyma... Krew dwójga dzieci oskarża nas przed Tym, którego imienia nie śmiem wymówić, i sprawiedliwa kara dosięgnie nas prędzej lub później!

— Stało się! — rzecze ponuro Salzbach: — Pamiętasz ów traktat z 1384 r., którym Witold, w wypadku zejścia bez potomka pći męskiej, przekazywał Litwę i Żmujdz naszemu Zakonowi? Niech wielkość celu usprawiedliwi środki. Dzieci tego zdrajcy stały na zawadzie do niezmiernego rozszerzenia naszej potęgi: musieliśmy je poświęcić dla dobra Zakonu.

— I taka była podówczas twoja pobudka?

— Bóg mi jest świadkiem, że nie inna.

— „Nie będziesz brał imienia Pana Boga Twojego nadaremno“.

— Jak to?

— Skłamałeś, Markwardzie Salzbach! A ja powiadam, że krwawa zawiść kierowała tobą. Z rozkazu kapituły bywałeś w częstych z Witoldem stonunkach. Jego potężny rozum, odwaga i charakter razily twoją poziomą mierność. Nie dorosłeś mu nawet do kolan, byłeś niższym od trawy, którą jego stopy deptały: i zjadł twoją nienawiść i pragnienie zemsty za wszystko, co niebo mu dało, a czego tobie odmówiło. Miotałeś naprzód beżene potwarze na pamięć jego matki, a potem zapragnąłeś śmierci jego synów. Nie mów mi więc o twoich pobudkach.

Komtur Salzbach, obrócony w niwecz tą gwałtowną odpowiedzią, tylko co nie wybuchnął wrzącym w sobie gniewem, ale się powściągnął. Osądziwszy zapewne, że niebezpieczną było rzeczą drażnić Sonnenberga. Komtur Salzbach nie był jednym z najmniejszych rycerzy Zakonu; dał tego dowód pod Grunwaldem; tysiące walecznych, bo i dla czegoż nie nazwać ich tak, choć byli naszymi wrogami? — tysiące walecznych tam zginęły, ale historia podaje Markwarda Salzbach w szczupłej liczbie tych, którzy uciekli.

Na kilka minut rozmowa ustała — nakoniec Schwelborn przerwał milczenie:

— Słyszałeś już, bracie Andrzeju, że nieboszyk mistrz otrzymał tajemne ostrzeżenie. Sama śmierć tylko przeszkodziła mu do wszczęcia inkwizycji. Lecz cóż się stanie, jeżeli jego następcą będzie podobny mu despota, jeżeli ten następca będzie, jak on, przyjacielem Witolda? Jeżeli nastajemy tak usilnie na obiór Ulryka Jungingen, to dlatego, że on niczego goręcej nie pragnie niż wojny z Witoldem i Jagiellą; że nigdy zastygłych już śladów tego, co minęło, nie będzie dochodził. Jego obiór to nasze wspólne bezpieczeństwo, więcęj nawet, to rozumne uznanie zasługi trzech ludzi, którzy utorowali Zakonowi drogę do przyszłej potęgi i wielkości, chociaż wstęp do niej oblał się krwią niewinną... Błagamy cię, bracie, nie od-

mawiaj nam swojej pomocy! Pamiętaj, że od obioru Ulryka nie tylko nasze życie, ale i nasze najwyższe dobro, nasz honor rycerski, zależy.

— Nasz honor rycerski tarza się w prochu pod zamkiem królewieckim! — odrzekł Sonnenberg i wyszedł z sali.

VIII.

Nasz wielki malarz przedstawił Witolda takim, jakim ten mocarz musiał być rzeczywiście w wiekopomnej bitwie pod Grunwaldem. Potężne natechnienie artysty wywołało z przeszłości, po upływie lat pół-tysiąca, tę kolosalną postać, otoczoną aureolą sławy, tryumfu i dzikiego geniuszu. Prawda historyczna promienieje zpod pędzla Matejki i każdy, kto patrzy na jego obraz, mówi do siebie: „Witold nie mógł być innym“. Wielkim zadaniem jego życia była niezmordowana walka z wszechwładnym Zakonem, ugruntowanym na waleczności własnego, jak niemniej zachodniego rycerstwa, które mu ciągle dla pogńębienia Litwy i Żmujdzi na pomoc przybywało, a oraz na wyćwiczonej trzema prawie wiekami polityce, pełnej obłudy, zdrad i przewrotności. Wróg to był straszny, który przed niczem się nie cofał. Bezcelne kłamstwa, jawne gwałty, okrucieństwa i pokątne zbrodnie nie go nie kosztowały. Wszystkie środki były godziwe w oczach przewielebnego rycerskiego Zakonu. A jednak moc wypadków i nienawiści wzajemnych, rozdierających jedność rodu Gedyminowego, skłoniła dwukrotnie Witolda do oddania się w moc śmiertelnych wrogów jego ojca.

Pierwszy raz sprzymierzył się on z nimi wkrótce po zgonie Kiejstuta, i w d. 30 Stycznia 1384 r., musiał podpisać akt, mocą którego, uznawszy się lennikiem Zakonu, zapewnił mu spadek po sobie, spadek Litwy i Żmujdzi, w przypadku, gdyby zeszedł z tego świata bez męskiego potomstwa. Lecz już w 1386 r. widzimy go po stronie stryjecznego brata, Władysława Jagielly. Następnie, w 1389 r. zrażony niesprawiedliwościami tego króla i jego brata Skirgielly, a przytem sam ambitny i chciwy panowania, rzucił się powtórnie w zdradzieckie objęcia Krzyżaków. Ale tym razem, aby pozyskać ich ufność i pomoc, zmuszony był dać licznych zakładników: między innymi obudwu małoletnich synów, których wielki mistrz oddał pod opiekę, czyli raczej, pod dozór marszałka Engelhardta von Rabe, rezydującego w Królewc. Tamto pod tarcają troskliwości Zakonu, nieszczęsne dzieci zaledwie cztery do pięciu lat wieku liczące, trzymano zdala od ojca i matki, których także wielki mistrz rozdzielił i w dwóch różnych zamkach osadził.

Lecz zaraz potem kapituła dodała księciu Witoldowi urzędowego stróża, pod nazwą kompana, w osobie rycerza i komtura Andrzeja von Sonnenberg. Zdaje się wszelako, że cel przewielebnego Zakonu został chybiony; albowiem ten dygnitarz, ujęty wielkością charakteru, a zapewne hojnością i uprzejmością księcia, którego miał spiegiwować, oddał się mu całkowicie. Za jego-to wpływami i staraniem, oile z kroniki wnioskować można, książę Witold rósł coraz wyżej w zaufanie podejrzliwego Zakonu. Małżonka jego, bracia i niektórzy książęta ruscy, oddani na zakładników, wrócili na Litwę, pod pozorem jednania tam stronników Witoldowi i Krzyżakom.

Kiedy nakoniec król Władysław postanowił szczerze pojednać się z księciem i wyprawił doń, dla tajnego porozumienia się, księcia Henryka mazowieckiego, biskupa nominata płockiego ¹⁾, kiedy obustronny układ w Ritterswerder został zawarty: powtórne oderwanie się Witolda od Zakonu i przejście na stronę króla polskiego, nie mogło być dokonaniem bez spół-udziału Sonnenberga. Kompan książęcy został przypuszczony do tajemnicy, i kroniki piszą, że przysięgłszy Witoldowi wierność i pomoc, stwierdził tę przysięgę w czasie Mszy św. spożyciem Przenajświętszej Hostyi, którą kapłan przy ołtarzu na dwoje dla nich prze-

dzielił. Najważniejszą dla księcia było sprawą odzyskanie synów; i brat Andrzej Sonnenberg zobowiązał się wyzwoleć ich z Królewca i razem z nimi na Litwę przyjechać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Przybycie do Paryża p. Jarosława Vrchlickiego, poety czeskiego. — Kilka słów o jego przeszłości i dziełach. — Dwa ostatnie znakomite jego dramata: *Drabomira* i *Smert Odyssea* — Dorywcy szkic jego portretu. — Pani Vrchlicka. — Przyjęcie poety w Parku Saint-Cloud i bankiet na cześć jego wydany. — Przemowy i zapal powszechny. — Dwie perełki z jego utworów: *Słowacki* i *Boginie*. — Pojedynek dziennikarzy bonapartystowskich. — Tragizny ko iiec. — Śmierć p. de Marras. — Ex-Ojciec Jacenty znówu na scenie. — Nowy awatar Karmelity, i kwestya rozdziału pomiędzy Kościołem i państwem.

Paryż, we Wrześniu 1882 r.

Jestto wielka niespodzianka dla kronikarza w kłopotach, kiedy w Lipcu lub Sierpniu zjawi się coś nowego na paryzkim bruku. Mówiłem już wam w poprzednich listach, jak tu ustaje nagle wszelki ruch literacki i artystyczny w tej porze roku. Wszystkie źródła informacji zamykają się skrzętnie, bo wszystko, co żyje nowinką i plotką, wynosi się nad brzegi morza, lub w dalekie góry. Moja niespodzianka była tem ciekawszą i miłszą, że przedmiot jej wychodzi ze zwyczajnej normy wiadomości brukowych i jest bliższy naszemu sercu, niż te wszystkie francuzkie i cudzoziemskie dziwadła, których mamy dosyć!

Niespodzianką o której mówię, jest przyjazd do Paryża p. *Jarosława Vrchlickiego*, młodego i ulubionego poety czeskiego. Nim się rozwiną dalsze wypadki naszego poznania, powiem tu słów kilka o człowieku i o wieszcu. Jarosław Vrchlicki jest to pseudonym; poeta zowie się rzeczywiście: Bohusz, albo Bogumił Frida. Syn kupca, urodził się on w północnych Czechach w miasteczku Lounech 16 Lutego 1853 roku. Pierwsze dziecinne lata przepędził na wsi, u swego stryja, proboszcza. Poniaważ był delikatnej komplexyi i słabego zdrowia, nie obciążano go więc nauką, i młodzutki Frida temu wolnemu i samopas puszczoneму życiu pierwszych lat dzieciństwa winien zapewne dzisiejsze siły i zdrowie, a co więcęj, winien może i tę prostotę i dzielność umysłu, która jest dziś charakterystyczną w nim cechą człowieka i poety... Życie praktyczne i nauka obowiązkowa były dlań prawdziwą męczarnią; to też jedno i drugie znośił póty tylko, póki nie wyszedł na drogę samoistnego życia, z całkowitą odpowiedzialnością osobistą.

Droga ta była trudna, ciężka i bolesna nieraz; przecięj wytrwał na niej, bo tylko w ten sposób mógł się poświęcić temu, co było jego powołaniem i całą jego naturą. W książce, która zawiera pierwsze jego poezye, pod tytułem: *Z Hlubin* (Z głębin), młody Vrchlicki zamknął wszystkie marzenia, nadzieje i bóle swojej młodości, chociaż nie wylał całej goryczy i nie wydostał wszystkich kolców, które mu ciężko krwawiły serce. Trzeba by klucza, komentarza do tych poezyj, ale ten komentarz on jeden tylko posiada. I na cóż zresztą przydać się może szczegółowy opis każdego zawodu, każdego cierpienia? Ciekawości ludzkiej nie zaspokoisz, choćbyś wszystko aż do dna odkrył, a szczegóły osobiste życia nie dorzucą ani jednego promyka do chwały poety. Zostawmy je zatem w pokoju.

Młodzieniec nie zerwał łańcucha, który mu wiązał do nogi ogromną kulę skazanego do ciężkich robót życia... Po trzech latach studyów filozoficznych na uniwersytecie jedno zaledwie ogniwo rozłamał, poświęcając się na największą ofiarę ludzką, na zawód uczenia cudzych dzieci. W 1875 r. wszedł jako nauczyciel prywatny do domu margrabiego Montecuculi. Zwiedził z tą rodziną północne Włochy, ale po roku opuścił swój zawód, wezwany na zajęcie miejsca redaktora w illustrowanym dzienniku czeskim: *Svetozor*. Wezwanie to

1) Książę Henryk odstąpiwszy później kapłaństwa, poślubił księżniczkę Ryngallę, siostrę Witoldową.

jednak nie wydało żadnego skutku, i Vrchlicki musiał znowu wrócić do stanu nauczycielskiego w instytucie prazkim, bez żadnej prawie nadziei zrzućcia z siebie kiedykolwiek straszego ciężaru. Tymczasem wyszły na świat jego: *Basne Epicke, Symfonie, Sny o stesti*. Publiczność czuła, że prawdziwy wieszcz narodowy śpiewał w kraju czeskim; opinia publiczna interesowała się zaczęła lossem pisarza, i kiedy zaważowało miejsce sekretarza przy czeskiej technice, powołano go na ten urząd, który i dotąd piastuje.¹⁾

Dziś Vrchlicki ma więc lat 29! Szczupły, wysmukły, ruchy ma żywe, a chód jego, pewny i śmiały, posiada tę właściwość, jakgdyby się trochę unosił na palcach, bez żadnej jednak przesyady i wymuszania. Jasny szatyn, zarasta rzadka i nosi brodę i wąsy, ale bardzo umiarkowanych rozmiarów. Twarz wyrazista, przyjemna, nos spory, ale kształtny, oczy siwe błyszczą rozumem i żywocią uczucia. Głos łagodny, dźwięczny, wzrost średni. Cała postać przypomina bardzo Kraszewskiego w jego młodych latach, i rzecz szczególna, i Vrchlicki, jak nasz drogi nestor, ma tę samą co i on gorączkę do pracy, niezmierną łatwość tworzenia i wielką płodność. Szczególną oznaką poety, kiedy się pilnie go śledzi, jest to, iż często wzrok jego widocznie zwrócony jest wewnątrz. Natchnienie ciągle w nim nurtuje. Zresztą uprzejmy, wesół, jest niezmiernie prostoty w obejściu i w mowie.

W ożywionej rozmowie i kiedy mówi publicznie, słowo jego jest obfite i płynne; bystrość myśli i żywocią imaginacji tak wielka, że słowa wówczas tłoczą się i cisną do ust, jakby pod gwałtem wruszenia; przecież wyrażenie jest zawsze poprawne, jasne, a często oryginalne. Ta oryginalność, to jest osobiste piętno jego umysłu, spotyka się zresztą we wszystkich jego utworach, najmniejszych nawet; przychodzi ona z natchnienia, bez przygotowania i wstępu i uderza nagle jakby odgłos silnego dzwonu.

Trzy lata temu Vrchlicki się ożenił z córką pani Zofii Podlipskiej, znanej autorki czeskiej. Żona poety jest to młoda, miłutka kobieta, inteligentna i bardzo kochająca swego Jarosława. Uczestnicząc tu we wszystkich prawie przyjęciach poety, umiała zachować z wielkim taktem, godnością i ujmującą prostotą miejsce obok ukochanego męża. Było coś rozrzucającego w tym widoku młodej pary wchodzącej w burzliwe życie Paryża bez wruszenia i bez zdziwienia prawie.

Ugościliśmy ich tu, ile to było w naszej mocy, a szczególnie, ile na to pozwalała pora roku, rozpędzająca ludzi na cztery wiatry. Pierwsze przyjęcie, rodzaj majówki, wyprawione w Saint Cloud przez młodzież Filharmonicznego Towarzystwa, pomimo deszczu, który niewpore wcale wmięszal się w tę sprawę, udało się wybornie. Przybywającego poeę do parku przywitał krótkim przemówieniem p. Chodzkiewicz, poczem nastąpiły śpiewy i deklamacye z poezyi miłego gościa. Następnie odegrano jakąś sztukę napisaną na ten cel umyślnie przez p. Gasztowtta, poczem, zmagleni przez deszcz, wróciliśmy wieczorem do miasta.

Nakoniec w wigilię wyjazdu poety z Paryża, d. 3 b. m., daliśmy mu składkowy bankiet. Licznie bardzo zebrani uczestnicy serdecznie starali się przyjąć znakomitego człowieka. Bankiet odbył się pod prezydencją Jeża, który w ślicznej przemowie starał się ukazać znaczenie literatury czeskiej i stanowisko w niej Vrchlickiego. Mowa ta, przerywana częstymi oklaskami przytomnych, wruszyła widocznie poeę. Odpowiedział poczesku, a, jak mówiłem wyżej, w chwili wruszenia, słowa mu płynęły gorącym potokiem. Zgromadzenie całe pod wpływem tego czarodziejstwa wymowy i tych dźwięków tak rzadko słyszanej mowy, rozkołysane i wruszone hucznie oklaskami, tłumilo prawie głos poety i porywało go z sobą w ten wir uczucia i miłości, których on w każdej chwili uczuwał dowody tak silne i tak głęboko serdeczne. Skończył swój toast, wno-

sząc zdrowie nieobecnego Bohdana Zaleskiego, któremu wiek sędziwy i odległość mieszkania (w Villepreux) nie dozwoliły przewodniczyć w tem braterskim przyjęciu młodego poety czeskiego.

Następnie zabierali głos p. p. Chodzkiewicz, Makowski (Czech)¹⁾, X. Wilczyński, a nakoniec p. Waclaw Gasztowtt odczytał piękne swe tłumaczenie wiersza Vrchlickiego, napisanego dla nas umyślnie na pamiątkę jego pobytu w Paryżu. Wiersz ten jest to jedna z tych pereł, które duch prawdziwego wieszca wynosi czasem z głębi uczucia i myśli. Pan Gasztowtt, komentując następnie każdą strofę i każdy wiersz prawie tej kassydy, dał uczyć słuchaczom całą wielkość pomysłu i cały przepych wykonania arcydzieła. Zdawało się, że po przemowie Vrchlickiego zgromadzenie wyczerpało wszelkie wruszenie i przemogło gwałt uczucia. Otoż nie: wiersz ten obudził tak niezmierny zapal, iż była chwila, kiedy zdawało się, że sala, w której byliśmy zebrani, runie od okrzyków, wiwatów i grzmiących oklasków. Nazajutrz poeta opuścił Paryż, ale jestem pewien, że w duszy jego nadług zostanie wspomnienie przyjęcia, jakiego doznał od Polaków w stolicy Francji.

Vrchlicki w ciągu tych siedmiu lat ostatnich, które upłynęły od ukazania się na świat w 1875 pierwszych jego poezyj p. t.: *Z Hlubin, pracował, tworzył i pisał wiele*. I tak przyszły nam jego: *Baśni Epicke, Sny o stesti, Vittoria Colonna, Ruch a swiet, Symfonie, Rok na Jihu, Myth, Eklogy a Pisme*; obie te ostatnie w 1880 r., *Dojmy i Rozmary* (1881) i nakoniec dwa dramata: *Drahomira i Smert Odyssea*; ten ostatni z niezmiernem powodzeniem przedstawiony na scenie. Są inne jeszcze, które mogłem przez niewiadomość pominąć, w tej liczbie śliczna wiązanka p. t.: *Pouti k Eldoradu* (Drogi do Raju).

Oprócz tylu oryginalnych poezyj Vrchlicki zmagcił jeszcze literaturę czeską, tłumacząc poeów wszystkich prawie narodów. Oto są tłumaczenia, jakie się ukazały w porządku chronologicznym: I. „Baśni V. Hugo“, 1874; II. „Baśni Leopardiho“ 1876; III. „Poesie francuzka nove doby“, 1878; tu muszę powiedzieć, że w liczbie tłumaczonych francuzkich poeów znajduję i takich, o których tutaj nawet mało kto zasłyszał. IV. Dante „Peklo“, 1879; V. „Kain Luonta De Lisle“, 1880; VI. „Polskie poezye“ 1881.

Ta wielostronność poglądów poety, te wycieczki w kraje obcych poeów, wrbogacając literaturę narodową czeską — bo można łatwo zrozumieć jakiej doskonałości są te przekłady pod piórem takiego mistrza, jak Vrchlicki — tłumaczenia te, powiadam, wrbogacając język i literaturę czeską, nie przyniosły najmniejszej ujmy oryginalności i samoistności geniuszu. Poeta czeski zostaje zawsze szczerozłotym Czechem i to jest największa jego zaleta i chwała; łamiąc się i borykając z trudnościami własnego języka, aby je nałamać do wydania całej siły i wdzięku, jaki znajduje w obcym obrocie myśli i wyrażenia. Vrchlicki dochodzi do tak wysokiej doskonałości formy, do jakiej żaden z wierszopisów czeskich nie doszedł. Originalność pomysłu i zwrotów myśli, niewysłowiona czystość i doskonałość formy, jedrność i siła: oto wybitne cechy tego poety. Świetność i żywocią wyobraźni: to są jego skrzydła.

Rozmawiając ze mną o swych ostatnich utworach dramatycznych, o *Drahomirze* i o *Śmierci Odysseja* — Vrchlicki sam przyznał wyższość temu ostatniemu. „Pierwsza myśl *Drahomiry* — mówił — był to poemat, coś, jakby narodowa epopeja. Powoli, z czasem ten plan się zmodyfikował; widziałem w tem pewien rodzaj akcji, wypadki, żywiły poetyczne scierały się, walczyły i w ostateczności zmieniłem plan i napisałem dramat; ale dramat przypomina zawsze, swój epicki początek — i tak zostanie nazawsze — w czytaniu więcej on sprawi efektu, niżeli na scenie. Tymczasem: *Śmierć Odysseja*, pojęta od początku jako dramat, tak też wyszła z mej duszy. I ztąd jego wyższość na *Drahomirę*.“ — Ma słusność poeta; tak osądziła publi-

czność czeska, a owacye, których się stał przedmiotem Vrchlicki u swoich rodaków, potwierdziły to zdanie i zagrzały poeę do dalszych pokuszeń w tym kierunku. Pewien jestem, że dziś, po swoim powrocie do ojczyzny, wrbogaci on Teatr Narodowy nowym i jeszcze dzielniejszym utworem.

Kończąc te kilka wspomnień o Vrchlickim, chciałbym zostawić czytelnikom *Bluszczu*, którym raz tylko zdarzyło się spotkać ze znakomitym, bratnim poeą, miłą pamiątkę, przepisując tu w oryginalne, sonet jego: *Słowacki*, wyjęty z książki p. t.: *Dojmy a Rozmary*; i kilka strof z *Pouti k Eldoradu*, poświęconych żonie. Załączam i tłumaczenie udzielone mi łaskawie przez p. Wacl. Gasztowtta, o którego talencie mówiłem już wyżej.

I. Słowacki.

Ta hudba skeble, již položis k uchu,
Pel, jenž na važky modrych kridlech hraje,
Vse Orientu povesti a baje,
V nichž zaslé raje zjevují se duchu.

* * *

Bouž vulkanu, hvezdchveni v troscim ruchu,
Plac andela, jenž svému stesti laje,
Sen radosti, jenž v slznu perlu taje,
A péseň po letech jež mile sluhu:

* * *

Vsim zni mi tvoje zadumieiva loutna,
A skolebany tvoje pésné tklivou,
Bych usmel rad a nezbudel se více.

* * *

Vsak žar, jenž pod popelem v tobe doutna,
A k nebi nahle tryskne slokou divou,
Mne vzrusi, by ozaril — popelnice.

Tłumaczenie p. Wacl. Gasztowta:

Szmer muszli, którą przyłożysz do ucha,
Pył śniący skrzydłem, gdy konik szeleści,
I Wschodu wszystkie baśnie i powieści,
Gdzie znikle raje żyją znów dla ducha;

* * *

Gwiazd drzenie, ogień co z Wulkanu bucha,
I płacz anioła, co się bólem pieści,
Sen błogi, we łzach tonący boleści,
Pieśń stara, której serce tęsknie słucha:

* * *

Tem wszystkim dzwoni lutnia twa marząca,
A ukołysan tkliwą jej muzyką,
O! radbym zasnął, wiecznie, nieśmiertelnie!

* * *

Lecz iskra w tobie pod popiołem tła,ca,
Ku niebu nagle strofą tryśnie dziką,
Wrzruszy nią, jakbyś rozpalil popielnię!

II. Boginie

(z Pouti k Eldoradu).

Když zadivam se v tvoje oko snivé,
Když kladu ruce na tvou krasnou hlavu,
Tu citim, staré Bohyne jsou živé,
Z tvé duse žrim jich žarnou stoupat slavu.

* * *

Ted' Diana jsi nevinna a cudna,
Sen panenství již zlatil oka rasu,
Ni Narcis v trave, ani hvezda bludna,
Nezhledly jeje nesmertelnou krasu.

* * *

A přijde cas, kdy o hymnu jasnozvuou,
Sbor slaviku zajasa, jež mas v dusi,

1) Wszystkie te szczegóły zawdzięczam uprzejmości p. Waclawa Gasztowtta, którego piękny artykuł o Vrchlickim był drukowany w „Przeglądzie Polskim“ w Krakowie, zeszyt za Lipiec 1881 r.

1) Starosta Czeskiej Biesiady w Paryżu.

Pas odepni tresouci se rukou,
A v svaté bazni kleknu pred Venusi.

* * *

A pozdeji pred mojem stojis okem,
Jak svata Ceres, jako ona k zemi,
Ty nad moje skrání se klonis, plnym tokem,
By skvetlá pisnemi—tvouj dech pla vsemi.

* * *

A na posled mi vráski s cela slibas,
Adas mi piti upominky vino,
Do vecnosti snu, ducha ukolibas,
Bud' požehnaná, moje Proserpino!

Tłómaczenie p. Wacł. Gasztowtta:

W oku twem sennem, gdy me oko ginie,
Gdy kładę ręce na głowie twej krasnej,
W niej, czuję, dawne ożyły Boginie,
Z twej duszy świeci blask ich sławy jasny.

* * *

Raz tyś Dyanna, niewinna, marząca,
Gdy jej panieństwa sny rzęsy złączały;
Ni Narcyz w trawie, ni gwiazda błędząca,
Jej nieśmiertelnej krasy nie ujrzały.

* * *

A gdy czas przyjdzie, zagrzmi w pieśń dźwięcząca
Spiewem słowików dusza twa rozgrzana,
Pas ci odepnę ręką się trzęsącą,
I przed Wenerą drzące gnę kolana.

* * *

Znowu przed mojem, znowu stoisz okiem,
By święta Ceres; jak ona ku ziemi,
Tak nad mą skronią skłaniasz się, potokiem
By pieśni lała pod usta twojemi.

* * *

W końcu mi marszczki wymazujesz z czoła,
I już mi dajesz słodkie wspomnień wino,
Do snu wieczności dusza twa mnie woła,
Bądź pożegnana, moja Prozerpino!

Dokończeni e nastąpi)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICY.

Na przelomie sztuki polskiej, przez F. K. Martynowskiego.
Warszawa, 1882; nakładem Teodora Paprockiego i Spki; w drukarni Émila Skińskiego, in 8-o max., str. 77.

(Dokończenie).

Z poglądu swego na przeszłość sztuki w Polsce Autor wyprowadza dwa 'pewniki' pierwszy, że sztuka u nas była tylko niewolniczym naśladowaniem zagranicznej; drugi, że rozwinąć się nie mogła, bo „nie oparła się na gruncie narodowym”. Podporą dla drugiego pewnika jest axiomat, iż wszelka sztuka narodową być musi. Przekonanie to w p. M. jest tak silnem, że zdaniem jego sztuka posiada „wady i przymioty tego narodu lub państwa, wśród którego wypielegnowaną została” (str. 42). Na taką stanowczość, na takie wyolbrzymienie wpływu życia ogólnego a mocy i rozległości sztuki — trudno się zgodzić. Nie, sztuka nie jest tak wielkiem mocarstwem, aby wady i przymioty całych narodów wchłaniać w siebie i odbijać w sobie mogła. Sztuka odbija w sobie jedynie typ fantazyi twórczej danego narodu, wielkimi torami jej kroczy, ogniem jej pali, światłem jej świeci, zaspakają w pewien właściwy sobie sposób daną potrzebę piękna, jaką Duch Świata wlewa w jednostki, a przez nie w powszechności; ale nie ma ani tego zadania, ani tej siły, aby szczególne upostaciowanie etyczne narodu, jego wady i przymioty, odzwierciedlała

w sobie. Jedynym obowiązkiem i zarazem prawem sztuki jest wyrażanie własnymi środkami naturalnego, wrodzonego popędu do piękna: ztąd też z objawów sztuki logicznie tylko o istocie tego popędu wnioskować można. Wolno do fantazyi dodać jeszcze uczuciowość narodu, ale nie wolno już dodawać ani tego, co się nazywa naturą moralną, ani samej moralności. Takie łączenie etyki ze sztuką zamiast dać światło umysłom, daje im tylko ciemność. Któż z rozmiarów budowli, z kształtu kapiteli i kolumn, z metopów i tryglifów, ze sposobu wykonania rzeźb, — z całego stylu sztuki greckiej — zdoła wyprowadzić wniosek, że Grecy byli swarliwi, burzliwi, zawistni, pełni małości w życiu publicznem i że ostatecznie przez brak charakterów upadli? Kto w epoce największego wzniesienia się sztuki za Iktinosa i Fidiasza z dzieł ich rozpozna poczynającą się przewagę wad nad przymiotami narodowemi, pierwszy moralny rozkład głównego społeczeństwa greckiego? Alboż Praxyteles i Apelles nie zjawili się w dobie upadku moralnego i politycznego i czy już w przekwicie rozumu filozoficznego i całej umysłowości z epoki Platona i Arystotelesa nie kwitła ciągle jeszcze sztuka grecka, silna i piękna?

O stanie uobyczajenia danego narodu, danej epoki, wnioskować można tylko z treści pięknotworów, z rodzaju przedmiotów, jakie sobie do działania w sztuce obierali pięknotwórcy, ale nigdy z samego sposobu tworzenia, z charakteru sztuki, z jej znamion wewnętrznych, estetycznych — ze stylu. W malarstwie hollenderskiem XVII w. n. p., w sztuce nawskroś rodzajowej, odbijają się obyczaje XVII w., przecież nie skutkiem narodowego stylu sztuki, ale skutkiem narodowej treści obrazów i dzięki właśnie ich *rodzajowości*. Nawet pracowitość, wykończenie, wypieszczenie, malowideł nie może być uważane za odbicie charakteru narodowego; obok bowiem wielkiej liczby rzeczy wycackanych znajduje się mnóstwo robionych pośpiesznie, sobotnim ściegiem na niedzielny targ. Małość przedmiotów i małość rozmiarów, jakie nadawano obrazom hollenderskim, z wyjątkiem odświętnych, pamiątkowych, sama zachęcała do drobiazgowości w technice. Jak tu powiedzieć, że się w najwyższym geniuszu Hollendrów, w Rembrand'cie, w ponurej fantazyi jego światła, w jego nienaśladowanym cieniu, w miękkim a potężnym kolorycie, odbiły wady i przymioty jego narodu? Jak tu przekonać, że jego pracowitość jest pracowitością Dowa, Mierisa lub Ostadego, pracowitością wspólną wszystkim Hollendrom?

Z miłości dla sztuki zatem nie wykraczajmy poza granice prawdy. Sztuka plastyczna przez samą istotę swoją jest tak wyodrębnioną z całości etycznego życia narodu, że wad i przymiotów charakteru narodowego jako *sztuka* odbijać w sobie nie może. Estetycy niemieccy, a zanim Kremer i Libelt, pobałamucili głowy przez takie pomieszanie sztuki z życiem ogólnem, estetyki z etyką, sił życia praktycznego z siłami oderwanymi, jakimi są siły artystyczne; a pobałamucili je przez to, że sztukę, która jest tylko częścią działalności duchowej, chcieli zrobić wszystkim i dotego wszechmocnem. Na karb takiej właśnie bałamutnej estetyki kładziemy to, co nam Autor mówi o sztuce greckiej i rzymskiej. Zdanie takie, „że na każdym kroku we wszystkich przejawach widzimy krystalizowanie się ducha wielkojęzycznego *imperium romanum* (str. 42), jest tylko zbiorem słów bez znaczenia. Wyrażone prościej a pełniej znaczyłoby to, że sztuka rzymska przyjmowała w siebie pięknotwórczość wszystkich narodów podbitych i że wszystkie miały w niej znaczenie w stosunku do znaczenia w życiu. Byłaby to rola gorsza jeszcze od eklektyzmu; ale i eklektyczną nawet sztuki rzymskiej nazywać nie wolno. Wielką była, zaiste, Grecya; ale czyż dla wielkości jej poniżać trzeba innych? Historycy literatury i sztuki kochają się w monopolach: lubią wyłączne narody, wyłącznymi przymiotami i zasługami obdarzać. Ma zasługi swoje Grecya w sztuce, ale ma i Rzym. Rzymianie-to rozwinięli dalej sztukę grecką, rozszerzyli ją i spotęgowali, wzbogacili, przystosowali do potrzeb wyższej cywilizacji i wyższego rozwoju; a przez to

wszystko, nietylko że nie zrobili nic złego, ale jeszcze prawdziwą opromienili się chwałą. Kto sobie umyślnie oczu nie zawiązał, ten nie może niedostrzedz wyższości architektury rzymskiej nad grecką; nie mówi się tu już o technice, ale o samej estetyce, o piękności i bogactwie kształtów, o liczbie i jakości składowych części piękna architektonicznego. Odrodzenie XVI w. było w architekturze zwrotem do Rzymu, a nie do Grecyi.

„Sztuka polska nie stanęła na wyżynie swego posłannictwa“ (str. 37), — dla p. Martynowskiego znaczy to, że nie była narodową. Gdy się chce być ścisłym, najlepiej jest nie mówić o żadnych posłannictwach zewnątrz, lecz wyprowadzać je z samego wnętrza sił posłanych na świat przez Stwórcę. Jakież posłannictwo z wnętrza sztuki samej dla niej wypływa? Oto darzenie ludzi pięknem i wrażeniami z piękna odnoszonymi, a przez to uszlachetnianie bytu ogólnego w społeczeństwie, narodzie czy państwie. W tym bycie ogólnym wprowadzić i byt narodowy się nie może, ale nie ma i nie może mieć takiego monopolu, żeby jego wymagania wyłącznie nad sztuką panowały. Narodową będzie sztuka więcej zawsze przez pracujących ludzi i opracowywane przedmioty, niż przez oryginalność stylu, przez dążenie do tego, aby być niepodobną do innych. Przedewszystkiem sztuka powinna być piękną, bo od tego jest sztuka. Aztekowie mieli własną swoją sztukę, mają swoją sztukę Buryaci, Kirgizi i inni; sztuka chińska ogromnym rozrostem swoim uderza, a czyż te wszystkie sztuki zasługują na nazwę, którą noszą? czy spełniają posłannictwo swoje w danych narodach i narodkach tak, jak ją spełnia sztuka prawdziwa w narodach cywilizacji europejskiej, lub jak spełniała je w świecie mahometańskim, wtedy, kiedy była rzeczywiście piękną, i ilościowo i jakościowo bogatą w pięknotwórczość? W Polsce sztuka powszechna byłaby wystarczająca społeczeństwu, byłaby spełniła powyższe swoje posłannictwo, gdyby była miała na swoje rozporządzenie prawdziwe talenty i, co równie ważne, prawdziwe zamiłowanie piękna w powszechności. Kiedy sztuka w danym kraju stanie już wysoko pod względem wewnętrznej swej wartości, wtedy dopiero powinna, i w pewnej mierze nieuchronnie musi, nabrać znamion indywidualnych tego kraju; ale nie można rozumować przeciwnie, że z oryginalności ośrodka powstaje wartość treści. W istocie swej sztuka jest jedną, powszechną; narodowość nadaje jej tylko odmiany wyrobione przez nawyk i powtarzanie w danem, od innych oddzielonem, zbiorowisku życia.

Nie pochlebiamy sobie: owszem, bądźmy tem surowszymi dla siebie, im bardziej siebie, powszechność swoją, kochamy. Nie dlatego nie mieliśmy sztuki swojej, żeśmy nie mieli sztuki narodowej, ale dlatego, żeśmy nie mieli u siebie sztuki powszechnej w natężeniu, w sile do istnienia i rozwoju jej wystarczającej. Nie w sztuce samej, nie w jej rodzaju, ale zewnątrz niej, w okolicznościach ogólniejszego znaczenia, w wielkich warunkach życia, przyczyny nierozwinięcia się artyzmu polskiego w przeszłości szukać należy. Fakt ubóstwa naszego nie potrzebuje dopiero udowodnienia przez taką krytyczną historią sztuki, o jakiej mówiliśmy na wstępie; jest on niewątpliwym: świadczą o nim pozostałe zabytki. Krytyka dziejopisarska i estetyczna ma nam dać tylko sumienny regestr wszystkiego, co rzeczywiście pięknem wśród pomników sztuki swej nazwać możemy; ma nam wykazać koleje piękna i stylów w pojedynczych pomnikach i stosunek estetyczny zabytków naszych do zachodnich: o tem, że mamy niewiele, żeśmy uprawy sztuk plastycznych u siebie nie rozwinęli, wiemy już i bez krytycznej historii sztuki. Do takiej historii również prócz powyższych należeć będzie i ścisłe określenie przeskód w rozwoju, oznaczanych ogólnikowo tylko przez historią polityczną. Z oznaczeniem podobnem spotykamy się i w rozprawie p. M. (str. 34 do 37). Autor wymienia cztery przyczyny: 1) życie rycerskie, obozowe, wojenne; 2) dążenie do cudzoziemczyzny; 3) brak poparcia ze strony rządu; 4) brak zamożnego mieszczaństwa. Drugą z tych przyczyn, w pojęciu nadanem jej przez Autora, wobec tego, cośmy od siebie wyżej powiedzieli, na

stronę usuwamy: cudzoziemczyzna szkodziła nam jedynie przez to, żeśmy swoich własnych artystów nie mieli, żeśmy w sztuce nie kształcili. Z trzech innych przyczyn kto wie, czy nie najważniejszą jest ostatnia. Nie twierdzimy nie stanowczo, stawiamy tylko domniemanie. Rozkwit sztuki greckiej, rozwój sztuki rzymskiej od XIII w., zabyśnięcie Hollendrów XVII w. w malarstwie, ostrzegają nas, że ten brak mieszczaństwa i cywilizacji miejskiej był dla sztuki naszej Hydrą Lerneńską, potworem, którą ją pożerał!

„Na przełomie sztuki polskiej“ ma oznaczać epokę obecną, epokę, która daje wrzekomo możność otrząśnięcia się z błędów przeszłości i pozwala sztuce naszej siłą ducha rodzimego wydobyć się na poziom prawdziwego, bujnego, nad przyszłością już zapanować zdolnego, rozwoju. Autor krytykuje nasze najnowe malarstwo, rzeźbę i architekturę, nie tyle jednak ze swego wyłącznego stanowiska, ile z ogólnie zasad, a raczej poczuć, estetycznych. Dostaje się tam Matejce, dostaje i innym, *minorum gentium*. Cała ta wycieczka przez sposób, w jaki ją poprowadzono, logicznie wylamuje się z planu wojennego rozprawy walczącej o taką a nie inną, o określoną już tu, prawdę. Znać w niej dziwną niechęć do niektórych pomników, n. p. do kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie, który, choć arcydziełem nie jest, ale na takie pomiatanie sobą nie zasłużył. Wobec raz przyjętego założenia podanie dodatków, praktycznych wyników swego myślenia Autor za niezbędne uważać musiał. Znajdujemy je też w końcu rozprawy na str. 74 do 77; a podano nam je z powagą i skromnością, dobrze zalecającą Autora czytelnikowi.

Jakie są te wskazówki? Oto w architekturze właściwym byłoby może oprzeć się (przedewszystkiem na pracy p. Świecianowskiego o skali muzycznej we wszechświecie, zastosowanej do sztuki. Skala ta ma być „silnym czynnikiem w zdobywaniu nowej architektury“ (str. 74). Motywa narodowe dalej sprawę poprowadzą. „Kościółki drewniane Podgórze, cerkwieki wioskowe Rusi, resztki budowli wiejskich i miejskich, krzyże przydrożne z Bożą Męką, ornamentyka ludowa na wyrobach z gliny i drzewa, hafty wieśniacze, zdobienie zabytków kopalnych przedhistorycznych“ — wszystko to ma być pomocem przy narodzinach nowej sztuki. Niedosć jeszcze: literaturę ludową, baśniową z jej *kanią cichą*, *wilkotakiem*, *wyrwidębem* i t. d. do pracy zaprzadź trzeba. „Cały świat legend i baśni, wierzeń i przesądów... wszystko to złożyć się może na przecudne linie, na niezrównany bukiet uczuć i myśli w architekturze“. Za przykładem architektury pójdzie rzeźba i „ona weźmie rozbrat z konwencyonalizmem“. I dalej w ten sposób w wyrazach, które panu M. pierwszy raz płyną szczerem, prawdziwie obfitym potokiem, wymownie, pięknie, snuje Autor sny swoje młodzieńcze o odrodzeniu sztuki naszej, o wyprowadzeniu jej z gruntu narodowego. Rady p. M. niewątpliwie uwzględni architektura do swej ornamentyki i jak Rafaelowi zawdzięcza sztuka ta wyrobienie *grotesków*, tak kiedyś może, nie architektowi, ale malarzowi lub rzeźbiarzowi, będzie mogło zawdzięczyć budownictwo nasze te nowe, bogate a piękne formy, które z pomysłów p. Martynowskiego rozwinąć można.

Widzimy, jak ważnym przedmiotem zajmuje się p. Martynowski, a sam ten przedmiot nadaje już poważne znaczenie jego pracy. Powaga ta wzrosła by jeszcze, gdyby ludzie zajmujący się teorią i historią sztuki powszechnej a dziejami sztuki naszej wzięli z głosu p. M. pochop do rozpraw wyczerpujących, zdolnych zapalić światło w wątpliwościach, które niejednym umysł niepokoją.

Wiele dałoby się powiedzieć o sposobie opracowania rozprawy, ale gdyśmy się rozszerzyli już nad treścią, mając teraz mówić o formie, poprzestać musimy na najbardziej zewnętrznym jej słoju, na języku. Nie jest on wolnym od błędów, których wytknięcie, jak zwykle, tak i teraz, uważamy sobie za obowiązek publiczny. P. Martynowski pisze: „chrześcijaństwo“ (str. 10) zamiast: *chrystyanizm*, albo *chrześcijaństwo* lub *świat chrześcijański*; „*Marienburg*“ (str. 16) zamiast: *Malborg*. Ulubionym jego spójnikiem jest „*jak skoro*“ całkiem obce językowi polskiemu. Zauważyliśmy użycie tego

wyrażenia siedm razy (str. 18, 22, 23, dwa na 27, 65 i 76); znajduje się zapewne i więcej błędów z tego źródła. „*Zapatrywanie*“, dostrzeżone u p. Smolki, dostrzegane i u innych pisarzy w Krakowie i Lwowie działających, znajduje się i u p. M. (str. 28). Polak mówi: *pogląd*, a w ostateczności już *zapatrywanie się*; lecz pisarz dobry tego drugiego wyrazu nigdy nie użyje. Architektura, rzeźba i malarstwo, nie: „*chodzi*“ (str. 30), ale: *chodzić*. Przymiotnik *Milocka* (str. 39) utworzono jaknajbłędniej. Wyspa pogrecku nazywa się: *Melos*; Francuzi użyli formy unowożytnionej *Miloi*; i wcale nie występuje w rzeczowniku: niema więc żadnej zasady i *c* w przymiotniku. Słowo „*zdumiały*“ (str. 44) błędnie użyte jako czynne. Na str. 48 występuje haniebne „*zdradzą*“, zamiast *ujawnią*. Na str. 68 znajdujemy błąd, który krytyka w nowszych czasach szczęśliwie już wyrwać zaczęła z pięknej niwy mowy ojczystej: *więcej... jak*.

Korrektą w rozprawie p. Martynowskiego wygląda bardzo niewesoło. Książka z 70 stronie dużego druku ma tyle błędów, ile ich w 3-dniowym tomowem dziele francuzkiem lub angielskiem znaleźć nie podobna. Schiller występuje tu jako „*Sziller*“, Kamsetzer jako „*Kamzetzes*“. „*Masaccio* i *Cimabuego*“ (str. 27), szematyczny (str. 28), „*wyżej*“ zamiast: *niżej*. Dwa razy na str. 41 i 42 „*imperum romanum*“. Na str. 45 Zimorowicz, na 48 „*Martini*“ zamiast *Martino* i t. d. i t. d.

Stanisław Krzemiński.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Hrabina Cecylia Zyberg-Platerowa otwiera dobroczynnie w mieście naszym zawodową szkołę dla kobiet. Uczennice, pensyonarki i przychodnie, będą przyjmowane od 12 lat wieku, ubogie — bezpłatnie. Oprócz szycia bielizny i sukien, haftu, kwaciarstwa, szkoła uczyć będzie rysunku, malowania na szkle i drzewie, heliominiatury, rachunkowości, korespondencji handlowej, wreszcie intrologatorstwa, koszykarstwa, szcotokarstwa, a ostatnie to rzemiosło jest poraz pierwszy, oile pamiętamy, wprowadzomem między gałęzie zawodowej pracy kobiet, chociaż zdaje się lepiej odpowiadać fizycznym siłom kobiety, niż naprzykład szewctwo, które wymaga w pewnych częściach swoich pomocy męskiej. I pierwsza też-to u nas szkoła zawodowa dla kobiet, oparta na szlachetnie dobroczynnej pomocy, przez którą kobieta klasa możnych chce nieść pomoc kobiecie ubogiej, zarobku na utrzymanie życia potrzebującej. Szkoły podobne, czy-to wspomagane przez gminy miast, czy zakładane przez stowarzyszenia lub osoby dobroczynne, istnieją licznie we wszystkich cywilizowanych krajach Europy, gdzie zrozumiiano już oddawna, że najwyższem, najdoskonalej chrześcijańskim dziełem miłosierdzia jest uzdolnienie człowieka do potrzebnej mu pracy. U nas przecież pierwsza to szkoła taka, gdzie założycielka może zarobku nie potrzebować i odsunąć go na stronę, a deficyt, zdarzyć się mogący, postanawia, jak hrabina Platerowa, pokryć z funduszu własnych. To też nazwisko tej zacnej pani, zapisuje się tym sposobem w złotej księdze obywatelsko-dobroczynnej działalności naszej i szkoła jej przedstawia się, obok świeżo wzniesionego *Schronienia dla naukowycielek*, jako jedna z instytucyj, zasługujących na szczególną sympatję ogółu.

Niemieckie pismo, *Illustrierte Frauen-Zeitung*, zamieściło w Nr 15 swoim portret i życiorys Modrzejowskiej. Portret jest na nieszczęście bardzo mało podobny i pozbawiony tego słodkiego uroku, jakim twarz Modrzejowskiej przejmuje widza, zanim jej wdzięczny głos i gra szlachetna działać zaczyna; ale za to życiorys, pióra Anczyca, napisany jest bardzo dobrze, bardzo rozumnie. Jest on stosunkowo krótki, nie obejmuje studyów głębszych nad rodzajem talentu i scenicznej działalności artystki naszej, ale szkicuje to wszystko bardzo trafnie i prawdziwie. Anczyca przyznaje Modrzejowskiej tę wielką zasługę, że ona-to wprowadziła do teatru warszawskiego utwory sztuki

wyższej, których brakło mu długo, a któremi ona wzbogaciła repertuar tej pierwszej sceny naszej, skoro tylko spostrzegła, że pewna zmiana okoliczności pozwala na to. Anczyca w krótkości przedstawił położenie i dodał, że jej gorąca miłość sztuki: „*glühende Liebe zur Kunst*“, jej talent porywający, oddziaływały ożywczo na teatr warszawski. Dowiadujemy się następnie szczegółu nie wszystkim znanego, że w 1878 r., gdy po raz pierwszy powracała z Ameryki do Europy dla chwilowego odpoczynku po olbrzymiej i wysilającej pracy, w przejeździe przez Paryż sławny francuzki malarz, Karol Duran, malował jej portret, zamówiony u niego przez Muzeum Sztuk Pięknych w Filadelfii.

Anczyca czyni wkrótce porównanie między Modrzejowską a Sara Bernhardt i zaznacza idealny, szlachetny kierunek naszej artystki, jej wyższe pojęcie sztuki, która w jej grze działa na serca, na uczucie, a nie na nerwy publiczności. Dowiadujemy się z żalem z pism londyńskich, że Modrzejowska wyjeżdża znów do Ameryki z trupą angielską.

Zmarła w Paryżu dnia 15 Lipca matka Gambetty, z domu Massabie, potwierdza axiomat przyjęty ogólnie, że każdy prawie człowiek wyższy, miał matkę niepospolitego serca i rozumu. Orozia Massabie, urodzona w Cahors 1807 r., była córką miejscowego aptekarza, a rodzice jej, ludzie średnio zamożni, dali jej to wychowanie i wykształcenie umysłu skromne, jakie po dziś dzień odbiera większa część córek mieszczańskich we Francyi. Ale iskra wrodzonej inteligencji rozświecała żywy jej umysł i dawała przecucie tego, czem dla ludzkiego ducha jest wiedza wyższa i gdy wyszedłszy za mąż, za kupca korzennego Gambettę, odgadła w starszym synu swym, synu Leonie, umysł szlachetnego polotu, postanowiła dać mu naukę, otwierającą szranki szerszej działalności wśród życia. Za jej też sprawą, przy zasiłku z jej oszczędności, a nawet bez woli i wiedzy ojca, studyował on prawo. Macierzyńska ręka rozwiązała zatem opaski, które kępowały skrzydła młodzieńczego ducha i pozostał też na zawsze między matką i synem stosunek najskładowy. Zostawszy w ojezyźnie swej wielkim i zarazem zamożnym człowiekiem, kupił on i dał jej w darze piękną willę w Nicei, gdzie zamieszkiwała od lat kilku, z żyjącym dotąd mężem i gdzie Gambetta szukał przy jej sercu uchrony i pociechy po ciosie, który go spotkał, gdy zmuszono go do opuszczenia steru rządów Francyi. Wyszukiwano wtedy powodów jego wyjazdu do Nicei, robiono włośliwe domysły, a on garnął się wtedy poprostu do ciepłej piersi matczyny; chciał się utulić przy niej, skarżąc się może smutną skargą naszego poety: „*Wracam do ciebie bez szczęścia i sławy*“. Orozia Gambetta przeżyła lat 75; przybyła do syna do Paryża, na uroczystość lipcową święta narodowego i zabiło ją uderzenie krwi. Śmierć nie była przecież nagłą; uratowana po pierwszym ataku, żyła jeszcze dni kilka — szczęśliwa zapewne, że umierała przy ukochanym synu, a szczęśliwy i on, że mu było danem przyjąć ostatnie jej technienie Łagodzi to w pierwszej chwili srogość żalu po stracie i jest potem w ciągu życia wspomnieniem smętnie słodkim i pocieszającym. Inaczej jest to jak rozdział bez pożegnania — okrutny. Dzieci powinny się też modlić o to: — Daj nam Boże, zamknąć oczy rodziców naszych.

Wnuczka Lafayette'a, a wdowa znanego pisarza i statysty, pani de Remusat, zmarła dnia 7 Sierpnia r. b. w wieku lat 74.

Pani Edmond Adam, redaktorka *La Nouvelle Revue*, doznała w swej miłości własnej (wielkiej, dodać trzeba) pewnej porażki. Pani ta, autorka miernego talentu, ale starająca się dać mu rozgłos za pomocą zręcznej reklamy, przyjmuje w salonie swoim kilku wybitniejszych członków gminy paryskiej, którzy też wniosli na radę, aby nowo-budującą się w Paryżu ulicę, ochrzcić jej literackim nazwiskiem Julietty Lamber. Ale wniosek upadł znaczną większością głosów, które wołały, że autorka *Galatei* nie uczyniła dla swego kraju nic takiego, za co-by godziło się ją tak wynagrodzić.

Róża Bonheur, zamieszkała nastale posiadłość swoją w okolicach Fontainebleau, zamek Thome-

ry, gdzie wiedzie tak ciche i proste życie, jak było ono zawsze prostem i skromnym, od wrzawy, hałasu Paryża i jego nerwowych wstrząśnień, nigdy nic nie potrzebującym. W życiu jej niema żadnych gwałtownych i namiętnych rzutów; co było w sercu, które niewątpliwie musiało kochać i może cierpieć, jak wiele innych serc kobiecych—nie wie nikt, świat przynajmniej. Córka malarza, była uczennicą sędziwego już ojca, na którego utrzymanie potrzeba jej było wcześniej wziąć się do pracy zarobkowej. Tak jej przeszła wiosna życia; lato jego oddała całkowicie sztuce, która wypłaciła jej się sławą i majątkiem, i dziś, już w dniach jesieni, nią jeszcze i jedynie żyje, ogrzewając sobie serce stosunkami z rodziną i kółkiem bliższych przyjaciół, których pozyskała sobie między artystami, poważnie, jak ona, kochającymi sztukę. Używa ona ogólnego i wysokiego szacunku, tak dla cnót swoich rodzinnych i szlachetnej, a rzadkiej wśród paryżkich stosunków, czystości życia, jak i dobroci, łagodności, tkiwości serca, gdzie ciepło uczu łączy się z zapałem dla sztuki. Róża Bonheur ma przytem charakter silny; gdy spostrzegła, że Paryż, przy pozyskanej sławie, zaczyna ją porywać i chce unieść w wir swój gorączkowy, poszukała sobie uchrony w życiu na wsi, gdzie poczęła przebywać całą porę ciepłą i gdzie teraz zamieszkała zupełnie. Wielkie zamilowanie i poczucie natury, łączące się koniecznie z jej rodzajem malarstwa, pomagało jej do tego, przytem z pozyskaniem majątkiem przyszła możność dalekich już podróży. Dziś pustelnica z Thomery, jak żartobliwie zowią ją w Paryżu, stoi na szczycie sławy, jako nieporównana, nieprześcigniona przez nikogo malarka lwów, którym pędził jej umie zachować cały ich charakter spokojnej i poważnej siły i tego niby majestatu, przez który lew został nazwany monarchą zwierzęcego świata. Róża Bonheur, nie będąc piękną, była bardzo przystojną i dziś ślady tego czynią z niej miłą dla wzroku ludzkiego kobietę.

Ludwika Michel, nigdy niezmordowana w swojej awanturniczej działalności i niezniechęcona niepowodzeniami, znów dała Paryżowi sposobność usłyszenia o sobie na zwykły sposób. Zebrałszy w sali Lewis zgromadzenie kobiet jej podobnych, przemawiała wobec licznej publiczności, zagrzewając do rozwinięcia czerwonej chorągwi. Jeden ze słuchaczy, porządny rzemieślnik, odpowiedział, że w każdym razie, przewodzenie polityczne nie jest dziełem kobiety, za co został zelżony; Henryk de la Pommaray, jako reporter dziennikarski, zdaje się że z *Figaro*, przyszedł na zgromadzenie ze wstążeczką Legii Honorowej u guzika, za co jedna z przytomnych kobiet, obrzuciła go potokiem słów obelżywych, co jednak nie było końcem odważnych czynów zgromadzenia. Kilkaset kobiet pracujących w rządowej fabryce tytoniu wyruszyło razem na plac Karuzelu i otoczywszy pałac ministerium skarbu, zażądało audyencji; chciały bowiem otrzymać powiększenie dziennego zarobku. Minister przecież, mimo krzyków i wzywań coraz głośniejszych, nie ukazał się, nie wysłał do nich nikogo i po godzinnem przeszło czekaniu zgromadzone musiały się rozejść bez skutku.

Petycja, podpisana przez 972 osoby, między którymi było 389 kobiet, a żądająca dopuszczenia kobiet do głosowania publicznego, została odrzuconą przez Izbę. Odpowiadał Cavaignac, że zmiana w głosowaniu musiałaby być poprzedzona przez odpowiednią zmianę kodexu cywilnego, co jednak nastąpić nie może, bo zbyt małą i nie nieznaczącą jest liczba głosów, odzywających się za tem.

Kazimiera Lodrayet, która otrzymała pierwszą nagrodę Pereiry, za studjum:—Jak najskuteczniej można wytrącić pauperyzm?—nie jest bynajmniej Amerykanką, jak sądzono ale rodowitą Francuzką, chwilowo przebywającą w Bostonie.

Paryżkie Stowarzyszenie Stenograficzne udzieliło na walnem zebraniu rocznem znaczną liczbę nagród, z których cztery przypadły kobietom. Otrzymały je: Paulina Nattier, Herminia Le Parquois, Walerya Morel i Marya Léon. Publiczne podziękowanie otrzymały nauczycielki stenografii: Mme Berrier i Melle Flotte. Jest to względnie nowa a we Francji znaczna gałąź pracy, otwarta kobiecie i dobrze jej przypadająca.

Na prowincjonalnych wystawach gospodar-

czych we Francji trzy wystawczyźnie dostały nagrody za postęp w hodowli drobiu. P. Estella Guilhou, właścicielka dóbr w departamencie Landes, otrzymała, specjalnie dla niej wybity, medal za zasługi na polu uprawy wina, przez doświadczenia czynione przy sadzeniu winogrodu. Na wystawie w powiecie Albi sąd w dziale kwiatów i jarzyn stołowych powierzono kobietom.

Na rozpoczynający się rok szkolny mianowano we Francji pięć inspektorek dla ludowych szkółek dzieci, zwanych tam: *Ecoles maternelles*, a odpowiadających naszym *Ochronkom*. Nominacje te są udzielane z ramienia akademii paryżkiej i akademii prowincjonalnych.

Genewskie Towarzystwo Sztuk Pięknych postanowiło przypuszczać do grona swego kobiety.

Angielskie stowarzyszenie, popierające wyższe wykształcenie kobiety: „The Women's Education Union“, rozwiązało się po dziesięciu latach istnienia, z powodu, że cel, dla którego założonem było, został osiągnięty. Kobieta angielska zapragnęła wiedzy wyższej, społeczeństwo przyznało jej do tego prawo zupełne, założono wiele szkół, wiele instytucyj rzecz umożliwiających, usunięto wiele przeszkód, które zagradzały drogę dążącej do światła kobiecie: Towarzystwo zatem nie czuje już żadnej racyi bytu i zwija niepotrzebną działalność.

Miss Ormored, mianowana, jak wiemy, przez angielskie Towarzystwo Rolnicze entomologiem towarzystwa, została wezwana przez Królewską Szkołę Rolniczą w Cirencester, do wykładania tamże rolniczej entomologii (nauka o owadach). Przytem rolnicy hrabstwa Norfolk, wdzięczni miss Ormored za przysługi, oddane gospodarstwu rolnemu, ofiarowali jej wybity na ten cel medal srebrny.

Irlandzka Liga Kobiet przestała istnieć. Uledez musiała naciskowi, przeciw któremu żaden opór nie pomógł nie zdołał, i zakończyła się tragedją okrutną. Po ogłoszeniu przez Anglię rozwiązania Ligi szlachetna jej założycielka i naczelniczka, Miss Anna Parnell, pociąta się rozpaczliwie przez Ocean, aby szukać w Ameryce środków ratunku i pomocy, których dostarczyć już nie mógł kraj,—wyczerpana i nagle przecięła się nić jej życia. Długie trudy, cierpienia i niepokoje przygotowywały ją w cichoci do tej śmierci smutnej, rozwijały aneryzm, aż pękło nareszcie bohaterkie to serce kobiety. Liga kobiet irlandzkich umarła też z nią razem, ale zostawiła po sobie zasiew ziarn, w grunt innych serc niewieścich rzucony. Na ostatniem zebraniu Ligi dwie zastępczynie Miss Parnell: Mrs Bourke i Miss O'Toole, zaproponowały zgromadzonem utworzenie z rozbitych szczątków innej całości organicznej: kobiecych lig prowincjonalnych, któreby działać mogły i działały poza polityką właściwą. Celem przetworzonej tak działalności jest oświecenie ludu, a głównie dzieci w materyach krajowych, w przedmiotach pomijanych przez szkołę. Nauka historyi irlandzkiej i rozpowszechnienie odpowiedniej literatury i poezji narodowej — oto zadanie nowego stowarzyszenia, które, stając już teraz na gruncie legalnym, może beztrwożnie dobroczynną działalność swą rozwijać. Kobiecte ligi, jako przeważnie edukacyjne, łączyć się będą bezpośrednio z ligami dzieci irlandzkich. Wszyscy zaci kapłani Irlandyi biorą udział czynnej pomocy w tem działaniu spokojnem, którego podścieliskiem jest grób Anny Parnell, gdzieś samotnie, za wodami, za puszcza-mi Ameryki zostający.

ZYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

(Dalszy ciąg).

Można powiedzieć, że niema kraju w którymby nauka elementarna bardziej była rozpowszechnioną, niż w Japonii; najędźniejszą *dżyn-ry-ki*

umie czytać i pisać; dzieci wszystkie chodzą do szkół i najmniejsza wioseczka posiada swego nauczyciela. Doprawdy, wstydzic się powinny kraje zachodnie.

— Zdaje mi się, — przerwał Lastinet, — że rozszerzenie programmatu nauk w Japonii nie jest objawem nowego prądu, i że zawsze Wschód przewyższał Zachód pod tym względem.

— Wistocie, — odrzekł Barrot, — zamilowanie wiedzy w kraju Mikadów nie od dziś się datuje; nauka była tam zawsze wysoko cenioną, gdyż od III wieku naszej ery zakładano tam już szkółki i gimnazyja; wiek X był szczytem kulminacyjnym ich rozwoju. Przez pięć wieków następnych, niepokojonych ciągle przez wojny domowe i wewnętrzne niezgody, pozostawały one w upadku aż do wstąpienia na tron dynastyi *Tokugawa*. Spokój, jakim ci monarchowie obdarzyli kraj, przyczynił się potężnie do wzbudzenia napowrót zamilowania nauki i przywrócił literaturze całą jej dawną świetność.

— Zkąd ty u dyabła wydobyleś te wszystkie szwedzki? — zapytał Harlès miłego naszego gawędziarza — zdumiewający jesteś, doprawdy!

— Gdy nas kraj jakiś zajmuje, korzysta się chętnie z każdej sposobności, by się coś o nim dowiedzieć. Podczas mej pierwszej w te strony wyprawy nie miałem nic lepszego do czynienia; pensya moja jako kadeta marynarki nie pozwalała na żadne wybryki: więc poświęcałem czas nauce, który zapewne w innych warunkach byłbym spędzał mniej pożytecznie, a pieniądze oddawałem na cacka. Oto tajemnica mej wiedzy, powierzam ją wam; chociaż wątpię, abyście poszli za mym przykładem.

— Dlaczegoż to wątpisz? — zapytałem Barrot'a.

— A tak, dlaczego? — zawołało wielu office-rów, czy nas uważasz za tak mało intelligentnych?

— Wcale nie; tylko nie jesteście już kadetami drugiej klasy i macie więcej do wydania na miesiąc, aniżeli 63 franków 66 centimów. Więc mogąc do pewnego punktu zadosyć uczynić fantazyom, ulegniecie mimowolnie pokusom, zabijającym lub paraliżującym zamilowanie do nauki. W tej krainie słońca i pięknych kobiet, życie tak szybko biegnie, iż nie ma czasu myśleć o poważnej pracy; dlatego też niech was to nie obraża drodzy towarzysze, po dwuletnim pobycie na morzach japońskich wyjedziecie, pewny prawie jestem, nie znając pierwszych nawet dźwięków „i, ro, ha, ni“¹⁾.

— Zobaczmy, — mruknął porucznik Saint-Cyr.

— Ale co niezawodnie poznać doskonałe, to wszystkie *fraszki* i *cacka*. Cacka, tak chińskie jak japońskie, wywierają niezmiernie silny wpływ na Europejczyków. Tylko ta jest różnica, że jeżeli w Chinach cacka stały się niemal nieprzystępnymi dla ludzi niemających dużych sum do rozporządzenia, w Japonii są one jeszcze dostępne dla każdej kieszeni. Przytem cenne artystyczne cacka chińskie stają się coraz rzadszemi i są zarówno poszukiwane przez bogatych krajowców, jak cudzoziemców. I dziś, nie wiem doprawdy gdzie i za jaką cenę możnaby jeszcze dostać owej pięknej porcelany i laki, którym Chiny zawdzięczają swoją sławę; wyroby bowiem terazniejsze są oburzającej nędzoty. W Kantonie można jeszcze znaleźć ładne okazy porcelany; ale lepiej prawie kupić je we Francji w magazynach marsylskich lub paryżkich; bo tym sposobem unika się kłopotów przeważenia, ambarassów z celnikami, możliwości stłuczenia, a płaci się niewiele drożej. Co zaś do wyrobów z laki, o tych i wspominać nie warto, gdyż nie zasługują one na najmniejszą uwagę. Przedmioty, których wyrób najmniej się popsuł, to są parawany, brzozy, rzeczy rzeźbione z kości słoniowej wykonywane, jeżeli już nie artystycznie to przynajmniej z wielką zręcznością; lecz ceny ich niesłychanie wysokie, a według mego zdania wcale nieodpowiednie rzeczywistej wartości przedmiotów. W Japonii również cacka dawne zaczynają się stawać rzadkością, lecz można je jeszcze znaleźć; dawne broje, laki i inne przesliczne starożytne zabytki spotyka się dość często w miastach niebardzo przetrząśniętych przez Europejczyków.

1) Pierwsze dźwięki alfabetu *katakana*.

W Yeddo, Osaka, a szczególnie w Kiyoto, znalazłem prawdziwe skarby: zacząwszy od zbroi żelaznych kutych, wykładanych oksydowanym złotem i srebrzem z przyborami z przerabianego jedwabiu — i szabli z klingą pysznie hartowaną z brzeszczotem oprawnym w złoto cudnie rzeźbione, aż do małych figurek z kości słoniowej artystycznie wykonanych; od *norymono* z laki czarnej jak heban, ozdobionej rysunkiem złotym i wykładaniem z perłowej konchy do bonbonierek ze złotej laki wysadzanej drogiemi kamieniami, od wielkich wazonów, starej porcelany *Satzouma* malowanych w barwy jak świeże bukiety kwiatów, aż do mikroskopijnych filiżaneczek czerwonych ze złotem z porcelany *Kanga*.

Również sztuka nowożytna mniej podupadła w Japonii, aniżeli w Chinach. Chociaż stare tajemnice fabrykacji zaginęły, zręczni robotnicy wynaleźli nowe i dziś z fabryk porcelany z giserni brązowniczych, jak również z warstatów fabrycznych laki, wychodzi masa rzeczy prześlicznych, po cenach względnie umiarkowanych.

Jednym słowem, pod względem wyrobów galanteryjnych Japonia posiada nad Państwem Niebieskiem przynębiającą wyższość, wyższość, która ciągle wzrastać będzie, zważywszy, z jednej strony bezczynność i zastój moralny w Chinach, z drugiej zaś olbrzymi ruch postępowy w Japonii.

Po kilku latach pobytu w kraju *Wschodzącego słońca* każdy Europejczyk posiada u siebie istny magazyn osobliwości; upodobanie do ozdoby fraszek staje się nieznacznie namiętnością, której się prędzej lub później oddaje z zapalem; próżno bronilibyś się: musisz uleść ogólnemu prądowi. Na określenie tego upodobania jest nawet osobne wyrażenie francuzkie: *bibelotes*. W chwilach wolnych od zajęć każdy według swej materialnej możności zajmuje się wyszukiwaniem artystycznych fraszek. Następują spotkania u kupców, opowiadania wrażeń, udzielania wiadomości o dokonanych odkryciach; dość, że to zajęcie staje się niezbędną potrzebą życia, i są amatorowie, którzy, znalazłszy jakiś przedmiot odpowiadający ich pragnieniom, tracą sen i apetyt, dopóki go nie posiadają.

Nic oryginalniejszego nad kupno w takim magazynie galanteryjnym. Ceny zmieniają się tam stosownie do okoliczności o 75%; pora roku, materialne położenie kupca, lub poprostu moralne tylko jego usposobienie w danej chwili, — stanowią tyleż przyczyn wpływających obniżająco. Sprzedać jaknajdrożej jest zasada tamtejszych przemysłowców; korzystając z niedoświadczenia kupującego i podniecać w nim ochotę do obranego przedmiotu to *b*, *a*, *ba*, zawodu. Dlatego też trzeba posiadać odrębną zupełnie umiejętność i nieco machiawelizmu, aby się nie dać obedrzeć. Zasada główna: nie okazywać nigdy, że się czegoś mocno pragnie, a nadewszystko nie śpieszyć się w kupnie.

Przedstawię wam przykład, który wam da zupełnie dokładne pojęcie, jak należy postępować.

Pewnego dnia w Grudniu na początku miesiąca wszedłem na ulicy *Benten* ¹⁾ do jednego z rozlicznych tam sklepów starzyny i żelaztwa, chociaż nie miałem zamiaru stanowczego cośkolwiek kupować. Zaledwo jednak usiadłem, uprzejmie zaproszony przez kupca, gdyż ci częstują zawsze herbatą i fajką, spostrzegłem w kącie na manekinie zbroję, wydającą mi się nader piękną. Oddawna właśnie pragnąłem posiadać taki wojowniczy zabytek; ale, naturalnie, strzegłem się okazać najmniejszym ruchem moje zamiary. Przejrzawszy więc niedbale zebrane w sklepie rzeczy, zapytałem o cenę jakiegoś fatalnie brzydkiego pudełka;

1) „Benten“ ulica w Yokohama zamieszkała po większej części przez handlarzy starożytności.

objawilem gromy zachwyty dla brązowej ryneczki, za którą jednak nie byłbym dał i jednego *bu* ¹⁾ wpadłem w zapał na widok pary wazonów z laki o barwach szkaradnie jaskrawych i niedobrych; wreszcie wyszedłem, zapytując już we drzwiach o tak niby wypadkiem o cenę zbroi.

— *Kon-dzon-go-ryo*, — odrzekł mi kupiec.

— *Sayo-nara* ²⁾, — powiedziałem, udając, że nie dosłyszałem odpowiedzi, lub, że mnie ona niewiele obchodziła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

1) 1 frank 25 centimów.

2) Do widzenia.

1-sza SZKOŁA KORONKARSTWA

Nauka bezpłatna.

Kurs nauki wyrobów koronek rozpocznie się d. 15 Października r. b. Zapis odbywa się w Poniedziałki, Wtorki i Czwartki, od 12 do 1 godziny z południa. O adresie szkoły dowiedzieć się można w Redakcyi *Bluszczu* przy Ulicy Nowy-Świat Nr 55.

BEZPRZYKŁADNIE ZNIŻONA CENA.

PISMO ŚWIĘTE

Starego i Nowego Testamentu

przekład KS. JAKÓBA WUJKA

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

z komentarzem podług ALLIOLI

ozdobione 230 drzeworytami

podług rysunku najslawniejszego europejskiego ilustratora

GUSTAWA DORÉ

w wielkich dwóch tomach

Cena bezprzykładnie zniżona

Obecnie tylko Rub. sr. 18 — (dotychczasowa cena Rs. 32), z przesyłką Rs. 20.

W oprawie w płótno angielskie Rs. 24, z przesyłką Rs. 27.

W oprawie ozdobnej w płótno angielskie ze skórzonym grzbietem Rs. 27, z przesyłką Rs. 30.

Opłacać można częściowo, a mianowicie u Wydawcy i w Księgarniach.

Za egzemplarz broszurowany kosztujący Rs. 18.

Co miesiąc po rs. 1 k. 50 za 5 zeszytów lub nawet co tydzień po kop. 30 za każdy zeszyt; ostatnie cztery zeszyty wydane zostaną bezpłatnie. Przy opłaceniu rat ilość właściwa zeszytów zaraz wydana zostanie — a to począwszy od końca dzieła, czyli od ostatniego 64-go zeszytu, poczem 63, 62, 61 i tak następnie.

Za egzemplarz oprawny kosztujący Rs. 24 lub 27.

Opłacać można należność w dwunastu ratach miesięcznych po rs. 2 lub rs. 2 kop. 25; po złożeniu pierwszych 6 rat wydanym będzie tom II-gi oprawny; — po złożeniu następnych 6 rat tom I-szy we właściwej oprawie.

Z przesyłką pocztą

na prowincję lub do Cesarstwa.

Zn egzemplarz broszurowany kosztujący z przesyłką Rs. 20.

Opłacać można należność w 4-ch ratach kwartalnych po rs. 5. Po uiszczeniu pierwszych 2-ch rat, przesłane będą zeszyty 33 do 64-go; — po nadesłaniu drugich 2-ch rat, zeszyty 1 do 32.

Za egzemplarz oprawny kosztujący z przesyłką Rs. 27 lub 30.

Opłacać można należność w 4-ch ratach kwartalnych po rs. 6 kop. 75 lub rs. 7 kop. 50. Po nadesłaniu pierwszych 2-ch rat, przesłany będzie tom II; — a po nadesłaniu drugich 2-ch rat tom I-szy we właściwej oprawie.

Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca, Ulica Nowy-Świat Nr 55.

TREŚĆ. Teorya i praktyka w zawodzie nauczycielskim, przez M. Ilnicką. — Królewiec i Grunwald, opowiadanie historyczne, (dalszy ciąg), przez Felixa S*** — Nowiny paryzkie. — Przegląd piśmienniczy, (dokończenie), przez Stanisława Krzemińskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Życie w Chinach i Japonii, (dalszy ciąg), przez Dubard'a.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny: Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 15 Сентября 1882 года.